Nr. 18. Lwów, dnia 20. Czerwca 1888 r. Rok I.



Pismo poświęcone powieściom, romansom, nowellom i wspomnieniom.

Prenumerata wynosi w Galicyi: Rocznie **6** zlr., półrocznie **3** zlr. kwart. **1** zł. **50** ct., mies. **50** ct. Skład w drukarni W. Manieckiego Lwów | W Księstwie Poznańskiem: Rocznie **12** marek, półrocznie **6** marek ćwierćrocz. **3** m., miesięcz **1** m. Skład w Poznaniu u J. Leitgebra i Ski

Wydawca: **Józef Rogosz.** — Redakcya i Administracja *„Wieczorów zimowych“* **w drukarni nar. W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7 we Lwowie.**

„Wieczory zimowe“ **wychodzą we Lwowie trzy razy na miesiąc, a mianowicie:** każdego 1 go. 10-go i 20-go.

Od Administracji.

Ze zbliżającym się kwartałem, upraszamy o wczesne odnowienie przedpłaty, która wynosi kwartalnie **1 zlr. 50 ct.** a do końca roku **3 zlr.**

☞ *Prenumeratę prosimy przysyłać wprost* **do drukarni W. Manieckiego ul. Kopernika l. 7,** gdyż administracja *„Wieczorów zimowych“* odpowiada tylko za te egzemplarze, które pod powyższym adresem będą zaprenumerowane.

Ponieważ półroczni abonenci dawnych *„Kwiatów“* otrzymywali *„Wieczory zimowe“* dotąd bezpłatnie, a ich prenumerata teraz się *skończyła*, prosimy ich tedy także o przysłanie prenumeraty, gdyż w razie przeciwnym musielibyśmy im wstrzymać dalszą wysyłkę naszego pisma.

Wydawca.

W ŚMIERTELNYCH ZAPASACH

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

osnuta na tle stosunków Wielkopolskich

przez

JÓZEFA ROGOSZA.

(Ciąg dalszy)

Zaledwie Silber uznał ten plan za dobry. zajął się natychmiast jego urzeczywistnieniem. Pojechał raz, drugi do Trzcińca, zasięgnął jeszcze lepiej języka, w końcu jak wiemy udał się nawet wprost do Żołędziaka z zapytaniem, czyby swego gospodarstwa nie sprzedał i kontraktu dzierżawnego nie odstąpił. Gdy go zawód spotkał, schował pazury i postanowił czekać na sposobność W życiu swojem przekonywał się nie raz, że cierpliwością można czasem to osiągnąć, co z początku wydawało się niepodobnem, więc też i dziś nie wątpił o wyniku swoich zabiegów. Zresztą czy Silber mało miał środków do przeprowadzenia swoich zamiarów? Wszak już tylu padło ofiarą jego chciwości, a mimo to dotąd ani w sztrafhauzie nie siedział, ani nawet nie stracił reputacji porządnego człowieka. Poczeka więc jeszcze i w końcu na swojem postawi.

Właśnie myślał o tem, gdy do pokoju wszedł Jasiek Żołędziak. Na jego widok, twarz Silbera zwykle zasępiona, rozjaśniła się na chwilę, jakby ją oświetlił promień nadziei.

— Jak się pan Żołędziak ma? Co pan tu porabia? — zapytał.

— Przyszedłem do pana w interesie — odrzekł, lewą ręką w bok się biorąc.

— W interesie? To bardzo pięknie... A jaki to interes ma pan Żołędziak do Silbera, jaki?

— Potrzebuję pieniędzy. *Geld!*

— Pieniędzy? *Geld?*

Szczególnym jakimś tonem żyd te słowa powtórzył. Było w nich zdziwienie, radość i razem niedowierzanie. Zdziwił się, że taki chłystek mógł przyjść doń po pieniądze; ucieszył się, że jego pro-

pozycja zbliżała się do celu, który osiągnąć pragnął; na koniec nie wierzył, żeby młody Żołędziak raz od niego pieniędzy pożyczywszy, oddał mu je kiedykolwiek. Wszak znając go od dziecka, wiedział, jaki to ptaszek i czego się po nim można spodziewać.

— A tak, pieniędzy — Jasiek potwierdził.

Żyd spojrzał nań drwiąco i zapytał:

— A ile ich też młody pan Żołędziak potrzebuje, ile?

— Ta choćby trzysta bitych.

— Trzysta bitych?.. To jeszcze nie dużo dla takiego wojaka jak pan Żołędziak. A na co wy ich potrzebujecie, na co?

— Na co, na co... Jadę do Berlina.

— Do Berlina? Pan Żołędziak bardzo dobrze robi, że tam jedzie. W Berlinie już nie jeden zrobił wielkie szczęście. Ale kiedy wy jedziecie do Berlina, to czemu od ojca nie weźmiecie pieniędzy?

— Bo my nie jesteśmy z sobą *gut Freund*.

— Tak? To wy nie jesteście *gut Freund*, to wy się gniewacie? Teraz już rozumiem, czemu młody pan Żołędziak aż do Silbera przyszedł po pieniądze... Ale jeżeli ojciec nie jest na was dobry, to kto weksel podpisze?

— Kto, ja! — odrzekł dumnie się prostując.

— No, młodego pana Żołędziaka weksel bardzo dobry, ale Silber chciałby wiedzieć z czego wy oddacie.

— Jak w Berlinie zarobię, to oddam.

— Tak? A jeśli nie zarobicie?

— Czemu bym nie miał zarobić?! Jak pan Silber chce, to ja mu list pokażę, którym mnie tam wzywają.

— Dobrze, dobrze, niech pan pokaże.

Jasiek wyjął z kieszeni list wymięty i zbrudzony. Żyd wziął go skwapliwie, podniósł do światła i zaczął czytać uważnie. Gdy skończył, rzekł:

— Widać, że to jakiś wasz wielki przyjaciel, skoro wam tak dobrze radzi.

— To mój *Busenfreund*.

— *Busenfreund*? A gdzie wy się z nim poznali, gdzie?

— Służyliśmy razem w wojsku. On był mój *Wachmeister*.

— *Wachmeister*? Ciu, ciu, ciu — cmoknął żyd kilkakrotnie, dziwiąc się wysokiemu stanowisku, jakie przyjaciel Jaśka w armji zajmował. — A teraz to on w Berlinie mieszka?

— A tak. Jego ojciec ma tam *Gasthaus*.

— To bardzo ładnie.. Już ja widzę, że z pana Żołędziaka będzie prędko wielki człowiek. Ale z tem wszystkiem muszę wam jedną rzecz powiedzieć: Silber nie lubi gruszek na wierzbie. W Berlinie możecie zrobić majątek, i ja wam tego pewnie z serca życzę, a może go także nie zrobicie, bo po ludziach wszystko chodzi. A jakbyście nie zrobili, to z czego byście potem zapłacili?

— Ta przecie i z ojcowizny coś dostanę.

— Pewnie... ale kiedy? Ojciec jeszcze zdrów, i ani chce dać, ani umierać myśli.

Jasiek czoło zmarszczył i zębami zgrzytnął.

— Niech pan Silber powie biało albo czarno, ale niech mnie nie kuniruje — rzekł tonem podrażnionym.

— Ojoj! Jaki z młodego pana Żołędziaka gorączka! To nie przymierzając jak jego ojciec, albo jeszcze gorzej, jak sama matka... Przecie kto pieniędzy potrzebuje, musi być cierpliwy. Silber nie powiedział, że nie da, ale jeżeli chce dać, to chce także wiedzieć, czy jego sprawiedliwe talary będą zabezpieczone. Otóż ja wam powiem mądre słowo. Trzysta bitych dam wam dziś jeszcze, procent wezmę niewielki, tylko dwadzieścia od sta, bo przecie ja przyjaciel wszystkich Żołędziaków, ale prócz pana Jaśka musi weksel także wasza matka podpisać.

— Jeżeli tylko o to idzie, to *Dumheit*! Matka przyjdą tu popołudniu, ta podpiszą.

— Dobrze, niech przyjdzie, a pieniądze pewnie będą.

O trzeciej popołudniu Jasiek zjawił się u Silbera razem z matką. Biedna kobieta miała oczy czerwone od płaczu i wyglądała jak przestraszona. Gdy żyd zaczął o interesie mówić, oglądała się ciągle na syna, aby jego widokiem wzmocnić upadającą w sobie odwagę. Tak była energiczna, tak sprężysta, tak krzykliwa, że jej równej trzebaby daleko szukać, a mimo to gdy miała spełnić czyn, jakiego dotąd jeszcze się nigdy nie dopuściła i do tego bez wiedzy męża, czuła że ją odwaga opuszcza. Domyślił się tego Jasiek i dla tego prędko weksel podpisawszy, podał go matce mówiąc:

— Teraz wy podpiszcie.

— A gdzie, Jaśku, gdzie? — zapytała głosem drżącym, biorąc pióro do ręki.

— Ta tu, matko, podemną.

— Dobrze, zaraz... ale chciałam się jeszcze zapytać pana Silbera, na jak długo my te pieniądze bierzemy.

— Na sześć tygodni.

— Na sześć tygodni? *O! du lieber Herr Gott*! a z czego my tak prędko zapłacimy?

— Niech pani Maryna nawet o tem nie myśli... Już w tem nie wasza głowa, tylko pana Jaśka. Jak on raz do Berlina pojedzie, to za tydzień wszystko zapłaci. Prawda panie Jasiek, że Silber ma *recht*?

— *Versteht sich!* — odrzekł zapytany.

Ale ta argumentacja nie trafiła do przekonania Maryny. Obróciwszy się więc do syna, gniewnie zawołała:

— Słuchaj ty poganinie! ty psiawiaro! na co ty mnie naprowadzasz?! Jak za sześć niedziel nie zapłacimy, to będzie nieszczęście!

— Niech się pani Maryna nie boi — żyd pospieszył ją uspokoić — Silber nikogo jeszcze nie skarżył. Zapłacicie za sześć niedziel, dobrze, nie zapłacicie, także nie będzie nieszczęścia. Przecie Silber wasz przyjaciel, więc wam głowy nie urwie. Niech pani Maryna będzie spokojna, ja wam daję słowo honoru, że się wam nic złego nie stanie.

To przemówienie wielce ją uspokoiło. Silber miał istotnie reputację porządnego kupca i słownego człowieka. Pomyślawszy więc jeszcze chwilę, usiadła, i jak umiała, to jest charakterem niemieckim, podpisała się pod nazwiskiem syna.

Wtedy żyd w ręku weksel obracając, rzekł:

— No, dwa podpisy już by były, ale gdzie trzeci?

— Jaki trzeci? — Jasiek zapytał.

Silber mrugnął do niego okiem i szybko odpowiedział:

— Albo to ja panu Jaśkowi rano nie mówił, że ojciec powinien także podpisać? Pan Jasiek wtedy mi odpowiedział, że wy nie jesteście z sobą *gut Freund*, no i jam nie nalegał, żeby stary aż tu przychodził... Pani Maryna może go sama podpisać.

— Co, ja? — krzyknęła jak oparzona. — A niedoczekanie wasze!

— Na co się tak zarzekać?! Czy może Silber chce co złego? Przecie mąż i żona, to jedno, a majątek także macie wspólny. Ale może pani Maryna boi się męża?

Słowa ostatnie wypowiedział tak drwiącym tonem, że Maryna do żywego tem zadraśnięta, zaczęła kląć się na duszę i ciało, że Wojciecha nigdy się nie bała i bać nie będzie. Mimo to na wekslu go nie podpisze, bo to by było nieszczęście. Mówiła prędko, głośno, dobitnie i co kilka słów zapewniała, że tego nigdy nie uczyni. Cały ten czas Silber i Jasiek milczeli. Pierwszy szukał czegoś między papierami na biurku, drugi miął czapkę niespokojnie. Nareszcie gdy matka wysilona mówić przestała, syn zbliżywszy się do stołu, rzekł:

— *Dumheiten*! kiedy matka nie chcą, to ja podpiszę! Przecie choćby stary nawet kiedyś zapłacił, to nie ze swego, jeno z mego.

Już chciał wziąć pióro, lecz matka szybko doń przyskoczywszy, tak silnie oburącz w pierś go uderzyła, że się aż zatoczył.

— A nie rób tego wisielcze, nie rób, boś gotów w Sztrafhauzie skończyć! Wolałbyś *Hundeseele* oślepnąć, niż miałbyś drugich podpisywać. Dajcie panie Silber, dajcie, już ja to sama zrobię! Niech to lepiej na mnie spadnie niż na niego! *O mein Gott*! *mein Gott*! jaka ja nieszczęśliwa!

Żyd weksel jej podsunął i ona jak z zimna się dygocąc podpisała na nim imię i nazwisko swego męża. Gdy potem Silber pieniądze liczył, Maryna fartuchem oczy sobie zasłoniwszy, rozszlochała się tak głośno, że aż od drugiego pokoju drzwi się odchyliły i ktoś wyjrzał ciekawie, by zobaczyć, co się tu właściwie dzieje.

XXII.

Maryna do samego wieczora z Jaśkiem została. Dawała mu rady, napomnienia, nauki, ale tonem łagodnym, nawet serdecznym. Miłość dla niego była w niej tak wielka, że teraz przed samem rozstaniem o niczem już innem nie myślała, tylko o nim. Kilkotygodniowe swary i zgryzoty, to na czem ojciec go złapał, a co po długich naleganiach przed nią wyjawił, nakoniec weksel dzisiejszy, wszystko poszło w niepamięć, został zaś tylko jej pierworodny, ten Jasiek ukochany, ku któremu rwały się teraz wszystkie jej myśli i uczucia.

On nauk słuchał obojętnie, na rady odpowiadał krótkiem: *ist schon recht!* napomnienia puszczał mimo uszu. Dusza jego nie była przy matce lecz na skrzydłach wyobraźni leciała ku tym stronom czarodziejskim, ku temu miastu jak smok wielkiemu a czarnemu, w którego wnętrzu wszystko gorączką życia kipiało. Przypomniał sobie te piwiarnie rzęsiście oświetlone, pełne dymu, gwaru i wesela; te tysiączne rozrywki w ogrodzie za miastem, na które tłumy się gapiły; te dziewczęta w ulicy *Unter den Linden*, które wieczorem tak ponętnym wabiły go uśmiechem Wtedy nie mógł rzucić się w wir tego życia wesołego, aby puhar rozkoszy do dna wychylić, bo jako żołnierz musiał słuchać rozkazów; za to teraz stratę powetuje, gdyż nikt go nie będzie śledził ani nadzorował.

Matka napróżno usiłowała choć kilka słów cieplejszych z niego wydobyć. Wprawdzie uśmiechał się, lecz nie do niej. Jego nęciły ku sobie obrazy, które w niedalekiej widział przyszłości. I podczas gdy ona pragnęła, by pociąg mający go zabrać do Berlina, przyszedł jak najpóźniej, choćby za rok nawet, on niecierpliwością miotany, co kilka minut spoglądał na zegarek i nawet nie raz zaklął gniewnie.

Nareszcie dał się słyszeć dzwonek zapowiadający zbliżanie się pociągu. Matka z głośnym płaczem rzuciła się synowi na szyję, polecając go boskiej opiece i prosząc, by jak najprędzej dał jej znać o sobie. On ledwie dotknął się ustami jej ręki i twarzy, czemprędzej wskoczył do wagonu, by go przypadkiem nie ominęło długo wyglądane szczęście. Matka stała na peronie, wpatrując się w okno, w którem spodziewała się go jeszcze zobaczyć; on rozmawiał już z towarzyszami podróży, wypytując ich ciekawie, czy daleko jadą i na peron ani wyjrzał.

Odjechał.

— *O! Herr Gott! Herr Gott!* — jęczała biedna kobieta, wstępując na drogę, co ją do domu miała zaprowadzić.

Na dworze tymczasem robiło się coraz cie-

mniej. Chmury, których dzień cały widać nie było, poczęły nagle gromadzić się ze wszystkich stron. W powietrzu było cicho a duszno. Daleko, na południowym zachodzie, ukazywały się błyskawice.

Maryna ochłonąwszy trochę z żalu, stanęła na drodze. Znajdowała się już spory kawał za miastem, na szosie było pusto. Nikt nie szedł, nikt nie jechał. Nawrócić nie mogła, bo coby Wojciech powiedział, jakby na noc do domu nie przyszła, a przed sobą miała jeszcze dobrą godzinę drogi. Jej wahanie nie trwało jednak długo. Wziąwszy Boga na pomoc, przeżegnała się i krokiem zdwojonym ruszyla ku Trzcińcowi.

W powietrzu ciągle było duszno, naraz od zachodu wionął lekki wietrzyk i znowu cisza nastała. Po chwili wiatr zrobił się silniejszy, w kilka minut dął już z całej mocy. Drzewa przydrożne skrzypiały, chyląc ku ziemi swoje konary, kurz na szosie podnosił się w gęstych kłębach i uderzając w twarz Marynę, oczy jej zasypywał a oddech tamował, błyskawice były coraz bliższe i coraz gęściejsze. Biedna kobieta musiala stanąć plecami do wiatru obrócona, by trochę wypocząć; dopiero gdy nowych sił nabrała, puściła się w dalszą drogę. Na swoje szczęście znajdowała się już w miejscu, gdzie szosa kolano tworząc, biegła więcej w kierunku południowym. Od tej też chwili, wiatr miała w plecy, który coraz szybciej niósł ją ku Trzcińcowi.

Ale chociaż wicher szalał, błyskawice oślepiały i w chmurach grzmiało złowrogo, dotąd deszcz nie lunął. Tylko niekiedy padały duże, zimne krople, niby kule tyraljerów, zwiastując bliskość walki.

Gdy Maryna znalazla się nareszcie pod samym Trzcińcem, wtedy szum fali na jeziorze obudził w niej straszny niepokój. Od południa nie była w domu, więc kto wie, co się tam stało. Chłopcy mogli na jezioro wypłynąć, a Wojciech łowił także chętnie ryby pod wieczór. Przy świetle nowej błyskawicy, ujrzała bałwany jak domy wysokie, co z hukiem o brzeg się rozbijały.

— O! Jezu! Jezu! Rety! — jęknęła i jakby jej kto skrzydła przypiął, puściła się przez wieś ku swemu domostwu.

We wsi było pusto, jak wymiótł; nawet psy nie wałęsały się po drodze, tylko pod dachem ukryte leżały w kółko skręcone. Ludzie prędzej niż zwykle w oknach światła pogasili i przy akompanjamencie wichru, co różnemi tony jęczał nad ich głowami, po ciężkiej pracy całodziennej słodko usypiali.

Maryna ujrzała światło w swojem domostwie lecz nie w izbie głównej, jeno po drugiej stronie tam, gdzie chłopcy spali. Albo więc Wojciecha w domu nie ma, bądź też poszedł do chłopców i z nimi rozmawia. Wszak on tak lubi być z dziećmi! To, żeby mąż spał, nawet jej przez myśl nie przeszło. Chociaż swarzyli się często, codzień prawie — chociaż ona przezywała go pogardliwie „stufałdnikiem“ a on ją z oburzeniem tytułował „szwabką przeklętą;“ — chociaż ona usiłowała go na Niemca przerobić, a on gorąco pragnął, by żona jego była sprawiedliwą polką i katoliczką, mimo to byli nawzajem do siebie szczerze przywiązani i jedno bez drugiego żyć by nie umiało. Kłócili się, bo taka już była natura Marjanny, Wojciech stary, lubo iż nie raz w duchu sobie mówił, że ust nie otworzy, podrażniony przez nią do żywego, w końcu brał także udział w „tańcu“ jak Jasiek powiadał, ale mimo to kochali się ciągle jak za lat młodych, a szanowali dla swoich przymiotów.

— Gdyby nie to, że człowiek z niego uczciwy, to bym mu kiedy oczy ukropem wyparzyła — mówiła Maryna.

— Gdyby nie to, że dobra z niej matka, tobym kiedyś babsko w jeziorze utopił — odgrażał się Wojciech.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWA OBOZY

POWIEŚĆ FRANCUSKA

WIKTORA CHERBULIEZ.

(Ciąg dalszy.)

Jetta oczy spuściła.

— Nie czułam się w jego objęciu — pomyślała — ale ten człowiek jest tu, w mojem sercu! Odpowiedziała zaś:

— Dałby Bóg, żeby na świecie nie było więcej pokus, prócz balów!

— Co mówisz o pokusach? — zawołała żywo matka Amelja. — Wszak pisałaś mi z Combard, iż wydają ci się wcale nie ponętne i nie niebezpieczne.

— Prawda — rzekła zakłopotana — ale to się zmieniło, odkąd jestem w Paryżu.. W powietrzu, którem się tu oddycha, jest coś, co miękczy serce i wolę osłabia... Oh! niebezpieczeństwo nie jest jeszcze tak bliskiem — podchwyciła przerażona spojrzeniem, którem ją matka zmierzyła — czuję się jednak rozstrojoną, napadają mnie dziwne smutki, tęsknoty i przybyłam do ciebie matko, aby się wzmocnić i odświeżyć.. Mów, nakaż co mam czynić w chwilach, gdy się czujęmniej silną, mniej zdecydowaną; mniej przywiązaną do mojego powołania.

— Pamiętaj wiecznie i zawsze — odrzuciła matka tonem uroczystym — żeś w myśli związała się ślubami dozgonnemi i powtarzaj takowe pół głosem, klęcząc. Najprzód ślub posłuszeństwa, którym ofiarowałaś Bogu twoją własną wolę, a ponieważ posłuszeństwo rozciąga się na wszelkie w życiu sprawy i czynności, ofiara staje się zupełną i doskonałą. Nie możesz już sobą rozrządzać. Czyż można rządzić dowolnie, powierzonym chwilowo depozytem? Następnie przyobiecałaś wieczne ubóstwo, które polega na wyrzeczeniu się wszelkich uciech światowych, i w ogóle wszystkiego, co posiadamy. Pod tym ślubem rozumie się również ubóstwo serca dobrowolne. Kościół

nakazuje nam oddać wszystko, nie tylko nasz majątek, ale i nasze przywiązanie dla istot ziemskich.

— A przecież matko, kochasz istoty ziemskie — zauważyła Jetta z pewnem wahaniem — skoro poświęcasz się na usługi chorych i kalek. — Dodała zaś: — Czyż można nie przywiązać się szczerze do tych, których się pielęgnowało i uleczyło?

— Tu w tych smutnych miejscach, gdzie nam niewolno zajmować się dusz zbawieniem — odpowiedziała tonem pełnym goryczy — mamy widzieć w usługach, które ciałom oddajemy, robotę przez Boga zadaną, umartwienie, które On nam zsyła i sposób, którym łaska Jego nas obdarza, abyśmy mogły pracować tem skuteczniej nad własnem zbawieniem... Ślubem trzecim jak wiesz, jest czystość, która wkłada na nas podwójny obowiązek. Pierwszym jest zrzeczenie się na zawsze związku małżeńskiego, drugim unikanie tego, co świat nazywa miłością i wzbudzenie w sobie wstrętu i obrzydzenia, na które jedynie to uczucie zasługuje.

— Cóż to jest miłość? — szepnęła Jetta, spuściwszy oczy powtórnie.

— Bunt ciała i zmysłów — odpowiedziała z rodzajem świątobliwego uniesienia — chuć piekielna, szukanie rozkoszy cielesnych, zwierzęcych, jest to pożądliwość bezecna i grzech nieczysty.

Gdyby Jetta zabłąkana wśród puszcz Ameryki, była zmuszoną pytać o drogę Indjanina czerwonoskórego, a ten na jej pytania niecierpliwie był jej odpowiedział po huroński, lub jakiem innem równie dzikiem narzeczem, znalazłaby się była w kłopocie nie lada, jednakże w tym wypadku jej umysł tylko byłby zaniepokojony, z tym niepokojem nie byłyby się zmięszały ból serca i wstyd dziwny, nieokreślony, który oblał jej twarz rumieńcem, a czoło zrosił kroplami potu zimnego. Grzech nieczysty! to słowo straszne, przerażające jej skromność dziewiczą, nie rozświecało bynajmniej ciemności panujących w jej umyśle Od chwili kiedy wykrzyknęła w rozmowie z eksprezydentem trybunału: — „Było by to czemś pięknem, ale aby tego dzieła dokonać, musiała by go szczerze pokochać!“ — bardzo wiele się zastanawiała nad życia tajemnicami. Wynikiem ostatecznym tych rozmyślań było silne przekonanie, że powołaniem Bogu najmilszem być musi, złożenie Mu w ofierze dobrowolnej serca i ciała dziewiczego i poświęcenie się wyłącznie obsłudze chorych i kalek; to powołanie sama sobie wybrała, a sumienie chciało dotrzymać święcie zobowiązań raz przyjętych. Przekonała się jednak w głębi duszy, że każdy stan, każde powołanie, można uświęcić. Zdało się jej, iż pokochawszy człowieka i oddając mu się z ciałem i z duszą, ma się prawo żądać od niego tak samo części jego woli i serce całe. To serce, mówiła w duchu, jest to zdobycz, będąca przedmiotem wiecznej walki; nie dość posiąść to serce, trzeba umieć je zatrzymać i bronić przeciw nieprzyjaciołom zewnętrznym i wewnętrznym, przeciw własnym, zgubnym namiętnościom i świata zawiściom, który krąży bezustannie około cichego szczęścia domowego, niby lew zgłodniały około owczarni. I to się jej marzyło, że ta walka ciągła, wymagała wielkiej czujności, mnóstwa ofiar, czułości zawsze bacznej i uległej, ale że zwycięstwo musiało sprawiać rozkosz niewysłowioną, a więc w tych cierpieniach można znaleźć słodycz, a w tej rozkoszy cierpienie. Skoro zaś do tego wszystkiego wolno mięszać muzykę Beethowena, można również mięszać i Boga panującego nad niebem, jak i nad ziemią, który stworzył tak ciało jak i duszę. Słowem, uważała miłość jako cudną różę, którą zrywa się z krzyża i prawdę rzekłszy, bezwiednie, była raczej zakochana w miłości, niż w człowieku... Grzech nieczysty!... Obrzucano błotem, wtrącano w kał jej marzenie. Spuściła głowę i zadumała się boleśnie.

Matka Amelja mówiła dalej. Przedmiot ją unosił, dodawał natchnienia, czynił wymowną, słowa pędziły szybko, niby potok niewstrzymany i tamy wszelkie zrywający. Przedstawiała Jecie, iż zanim go się spełni czynem, grzech nieczysty, może się w sercu rozpanoszyć. Starała się ją zabezpieczyć od spojrzeń nadto śmiałych, od ciekawości występnej, od uszu pożądliwości, które chłoną z rozkoszą rozmowy i dowcipy nieobyczajne, od podejrzanych poufałości, od ściskania się za ręce, a najbardziej od obrazów fantazji rozbujałej, które zostawiają skazę na duszy; od wspomnień szerzących w sercu straszną zarazę od trucizny, którą sączymy kropla po kropli. Wszystko to jest dziełem węża kusiciela, który wysila się na sposoby, aby zniszczyć cnotę anielską i oderwać od Boga jedną z jego owieczek i wiernych służebnic.

W ten sposób recytowała gorączkowo ta święta lekcję na pamięć wyuczoną; ta istota, której twarzy nigdy nie pogłaskał wzrok rozmarzony mężczyzny, nigdy nikt na nią nie spojrzał, bodaj z przelotną pożądliwością. Oddała Panu nad Pany dziewictwo zmysłów i wdowią duszę; miał w niej oblubienicę chmurną, posępną, swarliwą, ale zawsze baczną, zawsze nadzwyczaj wierną i niesłychanej zacności.

Patrzała na Jettę, która na nią oczu nie podnosiła. Uczuła niepokój i gniew jednocześnie. Rzekła uszczypliwie:

— Panno Maulabret, myśl często o twojej matce! Jeszcze raz powtarzam, nie możesz nigdy mieć nadto skrupułów!

Jetta drgnęła, ale milczała.

— Chciej mnie wyrozumieć: czego się lękam najbardziej dla ciebie, to nie złego postępowania z tobą tych, z którymi żyjesz lub których spotykasz w teatrach, na balach, w tych wszystkich świątyniach, wystawionych szatanowi tu na ziemi; ale wręcz przeciwnie ich pochlebstw i grzecznostek. Nie sądzę, abyś uległa groźbie, myślę jednak, iż zmiękłabys pod wpływem słówek miodowych, pieszczot i czułości.

Fiksowała ją dalej wzrokiem surowym i była niemal obrażona, ona martwiąca duszę i ciało, tą twarzyczką świeżą i ponętną, jak poranek majowy, tym strojem skromnym a wytwornym, podnoszącym jeszcze wdzięki niezrównane jej kibici.

— Wiesz mi mościa panno, skoro wrócisz do Combard, stłucz źwierciadło — zawołała tonem ostrym, niemal gwałtownym. — Czemże jest piękność? Kwiatem polnym, który więdnie i pada pod kosą... Pewien człowiek, który zapewne zasłużył na karę Bożą, bo spotwarzał niegodnie Ojców Jezuitów, ale który może i otrzymał przebaczenie, za to, iż znienawidził świat i życie, ten człowiek powiedział: — „Jakkolwiek zabawną mogła być komedja życia, koniec jest zawsze krwawy, rzucą trochę ziemi na głowę i wszystko się kończy na zawsze.“

Jetty milczenie uporczywe drażniło ją; jej wątpliwości zmieniły się w pewność niezbitą. Była przekonana, że coś się stało, lub coś się przygotowuje, że to serce ukrywa przed nią jakąś tajemnicę. Tonem groźnym, wykrzyknęła:

— Ja, która zawsze za ciebie ręczyłam, tak przed ludźmi, jak w tajemnej z Bogiem rozmowie, gdybym śmiała, gdybym mogła uwierzyć i przypuścić..

— Ach! matko! matko moja!.. — Jetta drgnęła, co zakonnica uważała za rodzaj zaprzeczenia.

Uspokoiła się cokolwiek, wyrzucając sobie w duszy, iż była nadto surową, nadto gwałtowną. Badała siebie, chcąc odkryć, czy do tej zbytniej gorliwości dla świętej sprawy, nie domięszało się bezwiednie uczucie podrażnionej próżności, gorycz osobista lub własny interes. Według zwyczaju przeżegnała się nieznacznie, aby oddalić od siebie kusiciela.

— Byłam pewna — rzekła tonem łagodniejszym — iż nic się nie stało i naprawdę dałam się unieść zbytniej surowości i podejrzliwości... Nie można bezkarnie przez świat przechodzić moje dziecię; miewasz, o czem przed chwilą wspominałaś, dziwne smutki, tęsknoty, pewną oschłość duszy. Nie trzeba się tem trwożyć zbytecznie; Bóg, który cię doświadcza, przyjdzie ci na pomoc z pewnością Możeś nadto sobie ufała, chciał cię więc ostrzedz tym sposobem.. Och! dobrześ zrobiła, odwidzając mnie; sądzę, iż to wywrze wpływ skuteczny na twoją duszę. Nie można dość zdaleka zabezpieczyć się temu sparzeniu, o którem wspomina Apostoł. Zrzuca się łatwo z szaty węgiel żarzący, zanim się uczuje gorąco; szaleńcy tylko czekają, aż płomień wybuchnie.

W tej chwili zapowiedziano, iż pani Cantarel czeka przed bramą na siostrzenicę.

— Jak ich skąpstwo czas wymierza, który mnie poświęcasz! — matka Amelja wydęła usta pogardliwie. — Ale nadzieje przewrotnego zostaną zawstydzone.

Objęła na chwilę ramieniem kibić Jetty, która powstała, a rozczulona tym niezwykłym objawem przywiązania, szeptała całując z uniesieniem ręce zakonnicy:

— Dzięki stokrotne, droga matko!.. Jestem szczęśliwa, żem cię widziała.

Matka Amelja chciała ją odprowadzić aż na koniec sali. Przechodząc przyklękła przed statuą Panny Marji i rzekła półgłosem:

— Najpewniejszym sposobem zachowania czystości jest szczere nabożeństwo do Marji niepokalanej, królowej i orędowniczki dziewic.

Jetta spojrzała na statuę i nie znalazła dawnej Panny Najświętszej. Tamta, którą zostawiła w tem samem miejscu, na tej samej konsoli, trzymała dziecię na ręku Zastąpiono ją inną, która zdawała się zapominać, iż jej wnętrzności wynosiły i wydały Boga ludziom. Uwieńczona gwiazdami, strojna w płaszcz lazurowy i w szatę białą haftowaną, z rękami na piersiach skrzyżowanemi, zdawała się narzucać światu własną boskość.

Gdy Jetta wsiadła do karety, pani Cantarel spytała ją o matkę Amelję. Odpowiedziała krótko, z roztargnieniem, i zapadła na nowo w zadumę i milczenie. Niestety! z owego szpitala, gdzie obiecywała sobie pytać nieledwie Boga samego, nie wywoziła ani jednego słowa zwycięzkiego, które by mogło uleczyć ją i uspokoić. Pewne wyrażenia tam usłyszane prześladowały ją niby ciężka zmora, w niczem jej nie przekonawszy. Chwilami ruszała suknią, jakby chciała z niej zrzucić węgiel żarzący, ale nic nie spadało. Zawsze zimna, a bacznie śledząca, pani Cantarel szanowała jej smętną zadumę. Kareta wjechała na ulicę Rivoli, gdy odezwała się nareszcie:

— Widzisz, moje dziecię, iż najlepiej nie radzić się nikogo i samej z sobą załatwiać sprawy osobiste. Zresztą będziesz miała dość czasu do namysłu Pan Cantarel, którego pozbawiłyśmy nadto długo pani de Moisieux, zapowiedział mi dziś rano, iż jutro powraca do Combard.

Jetta nie mogła powstrzymać się od wykrzykniku radośnego. Combard można było przejść wszerz i wzdłuż, nie spotykając pana Alberta Valport. Trzeba tylko było użyć przezorności i nie zabrać go tam ze sobą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

NA ZIEMI MĘCZENNIKÓW

POWIEŚĆ

osnuta na tle stosunków irlandzkich

przez

KAROLA DESLYS'A.

(Ciąg dalszy).

Było czystem niepodobieństwem wytrzymać w takim ogniu. Mimo nadludzkich wysiłków główno-dowodzących, garstka ludzi po części bardzo niedostatecznie w stare strzelbiny skałkowe lub po prostu w piki uzbrojona, poszła natychmiast w rozsypkę. I tym razem stojąc za murami, stary Perkins musiał śmiać się i ręce zacierać, że mu się tak świetnie powiodło. W koszarach się trąbki odzywały. Cały garnizon był wkrótce w szyku bojowym.— Nie było jednego zakrętu, jednej uliczki, nie zajętej przez żołnierzy. Walka stawała się wszędzie niemożebną. Odepchnięci i zdziesiątkowani, przy pierwszym zaraz ataku na fortecę, powstańcy cofali się jednak w wzorowym porządku, a gdzieniegdzie nawet bronili się zaciekle.

Uderzali kilkoma nawrotami jeden oddział w szczególności zdawał się niezwalczonym. Odstrzeliwali się do późna w nocy. Wreszcie i tych kawalerja rozprószyła.

Wystrzały odzywały się teraz coraz rzadziej, oddalały się, wreszcie całkiem ustały. Rozruch, o ile można było zdala osądzić. stłumiono na całej linji.

Tankred słuch wytężał. śledząc bacznie z sercem gwałtownie bijącem walki przebieg cały. Kilka razy wyprawiał swojego sługusa na zwiady, nakazując mu jednak najwyższą ostrożność.

Pat był dziwnie rozdrażniony tej nocy, nawet w wielce zaczepnem i wojennem usposobieniu. Gdyby nie zakaz surowy jego pana, byłby się przyłączył do insurgentów.

— *Arrah*! — zawołał wróciwszy z ostatniej wycieczki. — *Arrah*! wszystko skończone. Wszędzie mnóstwo trupów. Ale ci co zostali, wymkną się gracko i w mgle utoną. Gęsta aż miło. Sam Bóg nam ją zesłał na pomoc. Na dwa kroki nic nie widać, jakby oczy zawiązał.

Nie dając odpowiedzi, hrabia balkon opuścił i wszedłszy do pokoju sypialnego, rzucił się na łóżko nierozebrany. W tej samej chwili usłyszeli pod oknami kroki liczne i przyspieszone.

— Cóż to znowu?—spytał Tankred — Popatrz-no tylko Pat.

Z pokoju jego był widok na brzeg morski i ujście rzeki Liffey. W rogu znajdował się rodzaj obszernej werandy, na sposób hiszpański. Na około tejże poustawiano klomby krzewów i kwiatów egzotycznych i mniejszych chińskich wazoników. Hrabia nazywał żartobliwie swój balkon: „Ogrodem wiszącym Semiramidy.“

Pat spuścił jedną połówkę ściany szklannej, która

balkon oddzielała od ulicy i starał się rozpoznać, co się tam rusza w mgły falach białawych i na wskróś wilgocią przejmujących.

— Oh— mruknął. — Ciemno choć oko wykol Widzę snujące się cienie ludzkie i jeszcze wloką za sobą coś ciężkiego. Ot, jak turkocze po bruku — A zgadując nareszcie: —Wozy!—wykrzyknął.—Wozy z kamieniami, będą stawiali barykadę. Wiem już na co. Słychać w dali tentent kawalerji. Aj. aj Tylkoż pospieszajcie. Dobrze, doskonale. *Hillou*, a prędzejże. prędzej.

— Będziesz ty cicho gamoniu — hrabia ofuknął go zniecierpliwiony.

— Ależ wasza wysokość..

Głos potężny, niby ryk burzy. odzywał się od brzegu.

— Wsiadajcie wszyscy na łodzie, a mnie samemu ich zostawcie. Niedługo złączę się z wami. Nie wahać się ani chwili. Ja tak chcę.

Była to komenda Jakóba.

Tankred z łóżka wyskoczył i wybiegł na balkon, pełen ciekawości. Zobaczył ze dwudziestu ludzi uciekających, z drugiej zaś strony dwa cienie... i nic więcej. Pat prawdę powiedział. Mgła godną była Tamizy. Głuchy łoskot zwiastował zbliżanie się kawalerji w pełnym galopie. — Pierwsze szeregi uderzyły o jakąś zaporę, której w mgle dostrzedz nie można było. Z tego powodu zrobił się popłoch niesłychany. Konie padały wraz z jeźdźcami. Rżały z przestrachu, ludzie klęli na czem świat stoi.

— Huzary! — Pat szepnął.

— Cicho bałwanie — mruknął Tankred.

Odezwał się teraz baron Homspach, szorstko i brutalnie, podług zwyczaju:

— Z koni pierwszy oddział. Światła, a żywo. Trzeba zobaczyć co to takiego. Trzymamy w garści psów buntowników. Ach, djabły. z piekła rodem.

Błysnęły pochodnie, jedna, druga, gasnąc natychmiast. Kule *Wild-Irish'a* wywracały na ziemię ludzi wraz z pochodniami. W blasku przelotnym hrabia rozpoznał Unkasa, który podawał swojemu panu karabiny już nabite Stary rajtar spostrzegł się jednak, iż nad brzegiem stało na poprzek kilka wózków zaledwie a może i tego się domyślił. że barykady broniło niewielu ludzi Giestem i słowem zachęcał więc do pośpiechu:

— Ognia! — krzyczał jednocześnie.— Ognia z muszkietów i pistoletów. Podziurawić na sito tę hołotę.

Wild-Irish nic nie odpowiedział. Cofał się zwolna twarzą zwrócony do nieprzyjaciela. Działał widocznie, według jakiegoś planu nieodgadnionego. Przejście było wkrótce oczyszczone.

— Galopem — ryknął baron Homspach rozjuszony.

Oddalenie wyzyskane tymczasem przez Jakóba. pozwoliło mu wystrzelić jeszcze na chybił trafił, z trzech karabinków i paru pistoletów. W tej mgle gęstej, w której *Wild-Irish* utonął w rejteradzie bohaterskiej i gdzie mieli z kolei utonąć jego przeciwnicy, wyglądał na bajecznego olbrzyma, o stu głowach i tyluż ramionach. Wściekłość huzarów doszła do szczytu, pędzili też po szalonemu, na oślep.

Tankredowi wszystko z oczu zniknęło. Musiał zresztą razem z Patem wrócić do pokoju, aby uniknąć kul gęsto w powietrzu świszczących. Nagle obił się o ich uszy wrzask i łoskot iście piekielny, ogłuszający, w którym łączyły się jęki i krzyki pełne zgrozy i trwogi śmiertelnej, z brzękiem broni, głuchem ciał upadaniem i tysiącem iskier z mgły wyskakujących. Nie był to jednak hałas wśród walki powstający; raczej rodzaj katastrofy niesłychanej, nieprzewidzianej, lawina spadająca, a złożona z ciał ludzkich. — Hrabia przeczuł instynktowo, w jaką zasadzkę wciągnął *Wild-Irish* goniącego za nim nieprzyjaciela.

Nieopodal od domu, brzeg formował kolano i nie tylko samo nadbrzeże, ale cały bulwar nad rzeką dość stromo ku morzu się chylił. Była to godzina przypływu; fale musiały podnieść się już do znacznej wysokości. Otchłań mgłą przysłonięta i o której huzarzy rozwścieklen na wieki zapomnieli. Cały pierwszy oddział w gwałtownym rozpędzie, padał, staczał się w straszliwym nieładzie, ludzie z końmi pomięszani i ginął w morskich odmętach, a fale spienione nad nim się zamykały.

Reszta zaś znowu ludzie wraz z końmi, wstecz się cofali, wpadając jedni na drugich, wśród egipskich ciemności, w dzikim popłochu. Dwa promienie, raczej dwie przelotne błyskawice, oświetliły nagle obraz piekielny.

Gaillefontaine dojrzał, trochę opodal od brzegu, kilka czółen, pełnych ludzi uzbrojonych, a na jednej z nich dwie śmigownice, które w ten stos istot poplątanych, i z trwogi bezprzytomnych, sypnęły na dobitek kartaczami. To zdecydowało ostatecznie huzarów do odwrotu W przekonaniu, iż mają do czynienia z całą armją doskonale uorganizowaną i w dodatku w armaty zaopatrzoną, pozbierali się jak mogli najszybciej, porozpłątywali, zostawiając nietylko broń, ale i członki na placu boju i drapnęli czemprędzej, ani razu wstecz się nie oglądając.

Baron Homspach był i teraz na czele uciekających. Tygrys okrutny i drapieżny, tak łatwo przemienia się w danym razie w zająca. Gdy przejeżdżał w całym pędzie popod werandę, Tankred spostrzegł, że się chwieje na koniu, i usłyszał ryk bolu, pomięszany z brzękiem metalowym.— Nie dosięgła barona kula zabłąkana, ale spadł mu po prostu na głowę wazon z kwiatami i kasko metalowe roztrzaskał.

Hrabia spojrzał na Pata i wszystko zrozumiał.

— Czy chcesz błaźnie, żeby nas na części poszarpali? — pogroził mu naprawdę rozgniewany.

— *Arrah*!—tłumaczył się *Paddy*, z miną najpokorniejszą.— Ani wiem, kiedy mi się to „samo“ z rąk wymknęło; trzeba jednak przyznać, iż trafiło paradnie. *Floug*.

Na drugim końcu bulwaru, usłyszano nawoływanie:

— Walka rozpoczyna się na przedmieściu *Liberties*. Pomocy! Ratunku!

Wiosła o fale uderzyły i po bruku coś głucho zaturkotało.. Prawdopodobnie powstańcy wysiadali na brzeg, zabierając z sobą dwie śmigownice. Potem słychać było donośny rozkaz *Wild-Irish'a*:

— Naprzód!.. *Erin go bragh!*

W niespełna pół godziny, posypały się gęste strzały w stronie przedmieścia *Liberties*, tak zręcznej broni, jak i ze śmigownic.

Z pierwszym dnia brzaskiem, nic, nic, nigdzie! Głucha cisza śmierci.

— Środek Jakóba tak samo spełzł na niczem, jak i Reginaldowi się nie powiodło — pomyślał w duchu Gaillefontaine: — Teraz na mnie kolej!

XXVIII.

Środek Tankreda.

W pałacu Leinster, nikt ma się rozumieć, oka nie przymknął, podczas tej nocy burzliwej i pełnej śmiertel-

nego niepokoju, która miała decydować o losie Edwarda. Księżna siedziała w wielkiem krześle gotyckiem. Nieruchoma, z rękami złożonemi, z wzrokiem w niebo wzniesionym, cichą modlitwą wzywała Boga na pomoc udręczonym. Łucja przytulona do Pameli, starała się ją pocieszać, mimo iż jej samej serce zastygło, i słuch z trwogą wytężała, aby wieść jakąś pochwycić. Kornelja zaś wychylała się przez okno, które od czasu do czasu na oścież otwierała.

Głuche echo wystrzałów, aż do tego cichego ustronia dolatywało Na niebie świeciła łuna pożaru. Każdy huk armatni, wywoływał u młodej kobiety drgnienie bolesne. Wiedziała, kto w tej walce jest najbardziej zażarty! O niego też trwoga ją przejmywała, a serce ból ściskał! Dzień wreszcie zaświtał. Słońce zeszło już nawet, a nikt z obecnych nie pomyślał o zgaszeniu lampy, która dotąd ponuro oświetlała tę rodzinę pogrążoną w żałobie i wyczekującą zmiłowania od Boga, jeżeli wszystkie ludzkie usiłowania ich zawiodą.

Odkąd strzały ustały, wysyłano co chwila kogoś ze służby na zwiady. Chociaż relacje nie zgadzały się co do liczby zabitych, rannych i wziętych w niewolę, były jednak w zgodzie co do jednej kwestji najważniejszej: że porządek w całem mieście został przywrócony.

Nareszcie hrabia się pojawił.

Wszystkie oczy ku niemu się zwróciły; wszystkie panie naraz zarzuciły go pytaniami.

— Powstańcom nie udało się uwolnić Fitz-Gerald'a! — oświadczył zapytany.

— A z nimi cóż się stało? — badała z trwogą Kornelja.

— Ulotnili się szczęśliwie... Schronili się nazad w lazy i góry niedostępne.

Łucja z kolei spytała go o Reginalda.

— Zdrów i cały. — dodał nawiasem. — Tylko zrozpaczony, iż nie mógł nic uczynić dla uratowania Edwarda.

— A więc wszystko stracone! — Pamela ręce załamała, z krzykiem serce rozdzierającym.

— Nie wszystko, skoro ja tu jestem — hrabia odpowiedział

Znowu chórem zażądano, żeby się jaśniej tłumaczył.

— Ach, ach, —wahał się jeszcze—mój bo środek jest niezwykły, niecodzienny Natchnienie z góry. Może byłbym lepiej uczynił zachowując wszystko w tajemnicy. Chciałem jednak oszczędzić wasze biedne serca i tak dość zbolałe. Potrzebuję zresztą twojego księżno przyzwolenia i twojej pomocy.

— Mów-że hrabio — matka zawołała, ręce błagalnie wyciągając.

— Trzeba się tylko wpierw upewnić, — szepnął—że nas nikt nie podsłucha.

Łucja i Kornelja, wybiegły na dwie strony, zamykając za sobą drzwi wszystkie najstaranniej. Tankred usiadł teraz naprzeciw matki Edwarda, reszta niecierpliwego „audytorjum“ ugrupowała się w koło.

— Księżno — hrabia rozpoczął uroczyście —liczę na twoją siłę moralną, jak i na resztę dam tutaj zgromadzonych. Trzeba w tym wypadku, nie tylko krwi zimnej i wielkiej przytomności umysłu, lecz w dodatku ciągłego udawania, które wyda się może zbyt trudnem i zbyt wstrętnem dla waszych uczuć chreścijańskich. Oto mój projekt: — Cztery głowy pochyliły się ku niemu. — „Jak wiadomo, doktor Juble, mieszkał tuż obok Edwarda, we wspólnem więzieniu, mogli więc widywać się o każdym czasie. Skoro Edwarda po raz pierwszy odwidziłem, wprowadził on mnie do kaźni znakomitego tego uczonego, nie tylko lekarza, ale w dodatku biegłego alchemisty. Zauważyłem w starcu, prócz wiedzy niesłychanej, zadziwiającej, ojcowskie niemal przywiązanie do Edwarda, który zresztą ma dar szczególny, wzbudzać miłość w każdym“...

— Moje dziecię najukochańsze! — szepnęła księżna.

— Nazajutrz — mówił hrabia dalej — podczas gdy panie byłyście jedynie zajęte szczęściem bez granic, widząc Edwarda po tylu miesiącach bolesnego rozłączenia, ja poszedłem znów do lekarza i rozmawiałem z nim długo i szeroko, o jego kochanym pacjencie: — „Żal mi niemal, rzekł do mnie smętnie głową potrząsając, żem go leczył tak starannie! Lepiej mu było umrzeć w skutek rany, niż ginąć haniebnie pod kata toporem! Już by teraz leżał w grobie cicho i spokojnie“. — Uprzedzał tem powiedzeniem skryty zamiar, który w nocy strzelił mi do głowy: — „Grób“! — wtrąciłem. „A gdybyśmy w nim szukali ocalenia Edwarda? — Myślał, iż żądam od niego trucizny. — „Nie! nie“! — energicznie zaprotestowałem. — Pragnę jednego z owych cudownych narkotyków, których tajemnicę sir zbadałeś dokładnie, a które na czas dłuższy wstrzymałyby niejako życie w skazanym robiąc go zupełnie do trupa podobnym.

— Rozumiem! — Łucja szepnęła. — „Nie będziesz kusił Pana Boga twego“! — matka jęknęła. — Nie byłożby to świętokradztwem!...

Pamelę trwożyło jedynie niebezpieczeństwo z tym środkiem złączone.

— Zapewne — przyznał Tankred. — To chwilowe życia zawieszenie, jest trochę ryzykownem. Znane jest paniom jednak długoletnie lekarskie doświadczenie doktora Jumble A właśnie dział narkotyków, to jego specjalność. Gdy go spytałem: „Jest że to możebnem?“ — odpowiedział bez wahania: — „Jest“! Miał pod ręką całe laboratorjum, wszystkie potrzebne substancje. Sporządził też trunek usypiający, za którego skuteczność odpowiada: — Inne środki — kończył po chwili milczenia ogólnego — były lepsze, niewątpliwie... wszystkie jednak spełzły na niczem Ten jeden nam zostaje. Doktor zresztą miał go użyć w ostateczności. Umówiliśmy się, że jeżeli do godziny ósmej rano, nie będzie z niczyjej strony odwołania, zacznie działać. —Wszystkie panie naraz spojrzały na zegar. Wskazywał on pół do ósmej. — Zaufajcie panie temu ostatecznemu środkowi! — prosił hrabia usilnie. — Gdy wam doniosą, że lord Fitz-Gerald nie żyje, bądźcie pewne, iż spi tylko. Musicie jednak udawać żal głęboki, aby oszukać wszystkich w tej sprawie interesowanych. Wtedy nadejdzie chwila działania dla matki Edwarda. Zażąda natychmiast wydania ciała, aby syn jej spoczął obok wielkich przodków swoich. Tam, w grobach familijnych w Kildar, obudzi się umarły dla tych, którzy śmierci jego pragnęli, żyjący dla tych, którzy go kochają.

Tankred przestał mówić, a kobiety jeszcze słuchały, oddech w piersiach tamując. Zapukano z cicha do drzwi, które na korytarz z drugiej komnaty prowadziły.

— Pst! pst! — Tankred palec do ust przyłożył. — Lada podejrzenie, a wszystko byłoby stracone bezpowrotnie.

Na matki skinienie, Łucja poszła otworzyć. Wszedł Tony. Na tej poczciwej, czarnej twarzy, malowała się rozpacz bez granic.

— *Milady!* — załkał głucho. — Jeżeli chcemy po-

żegnać naszego pana kochanego... nie ma czasu do stracenia!... rusztowanie już stoi gotowe przed starym zamkiem!

Na tę wieść straszliwą, matka, żona i siostra na śmierć skazanego, wydały jednakowy krzyk, serce rozdzierający.

— A oto dwa listy — dodał murzyn

W wielkiej kopercie, z pieczęcią urzędową, z adresem samej księżnej Leinster, było pismo od samego wice-króla; w drugiej, mniejszej, do Łucji zaadresowanej, był bilet od Reginalda.

— Odejdź!—Tankred skinął na starca poczciwego — i nie rozpaczaj tak bardzo, może jeszcze nie wszystko stracone.

Mimo tych słów pociechy, Tony szlochał dalej jak dziecko. Skoro wyszedł, złamano pieczęcie. Koperta urzędowa zawierała pozwolenie odwidzenia skazanego dla całej rodziny. Było jednak ważnem tylko do godziny dwunastej w południe Bilet Reginalda składał się z kilku zaledwie wyrazów:

„Nie ujrzysz mnie więcej. Przebacz nieszczęśliwemu“.

— Nie wolno nam się dłużej wahać — odezwała się pierwsza Łucja energicznie. — Czyż tego nie rozumiecie?!

Ósma w tej chwili bić zaczęła..

— Módlmy się! — księżna zsunęła się na kolana Reszta niewiast poszła za jej przykładem.

— Nie traćmy nadziei! — rzucił im hrabia na pożegnanie

W głębi serca, nie był on sam tak spokojnym, za jakiego chciał uchodzić. Ile przeszkód, ile możliwych katastrof przewidywał! Muszą dostać się najprzód do grobów familijnych w Kildar, może po to tylko, aby tam w rzeczy samej złożyć zimne zwłoki. Z drugiej strony, gdyby narkotyk nie okazał się dość skutecznym, aby wydrzeć ofiarę z pod kata toporu?.. Gdyby zastał Edwarda gotowego iść na rusztowanie? Co do tej kwestji Tankred liczył i słusznie na nieomylność doktora Jumble. Naprzód już ze zręcznością wytrawnego dyplomaty, lekarz starał się przygotować umysły na wszelki wypadek. Na dwa dni przed zebraniem przysięgłych, kazał się zaprowadzić do główno dowodzącego fortecą i więzieniem, aby mu zapowiedzieć, iż stan chorobliwy lorda Edwarda, nie pozwoli mu prawdopodobnie wziąć udziału w rozprawie sądowej. Co dzień odtąd to samo się powtarzało. Perkins uznał za stosowne zjawić się w własnej osobie w kaźni Fitz-Gerald'a i przekonał się naocznie, jak jest wycieńczonym i osłabionym.

— Gwałtowne wzruszenie, to śmierć dla niego! — lekarz szeptał na ucho kapitanowi ile razy go zobaczył. Słowo każde doktora Jumble, w kwestjach chorób dotyczących, uchodziło powszechnie za wyrocznię.

Mimo tego jednakże, Pitt'a rozkaz nieodwołalny. żądał aby sądu nie odwlekać. Zaraz po zapadłym wyroku lekarz zbliżył się do wice-króla, a pokazując mu nieznacznie Fitz-Geralda, rzekł z cicha:

— Temu się już nie wiele i tak należy!... Poczekajcie dzień!.. dwa!... a obejdzie się bez kata.

— Dałby Bóg! — westchnął lord Cornwallis, który nie mogąc nic uczynić dla Edwarda, radby mu był przynajmniej oszczędzić rusztowania.

Dowiedziawszy się o zawartem małżeństwie syna z Łucją Fitz Gerald, to życzenie stało się u niego niemal fiksacją. Pragnął teraz gorąco, żeby Edward mógł umrzeć spokojnie, a nie ginął sromotnie pod kata toporem.

Wybieg dyplomatyczny udał się zatem lekarzowi wyśmienicie.

— Doskonale! Coraz lepiej! — zacierał ręce rozradowany. — Nie tylko czekają wypadku, ale go się na pewno spodziewają! *Ergo!* ani się zdziwią, ani nie będą tak ściśle prawdy dochodzili Uwierzą mi na słowo!

Trzeba było atoli przygotować samego Edwarda, który dotąd o niczem nie wiedział, niczego się nie spodziewał.

W sali trybunału nie było jednej osoby, którąby nie zauważyła lorda Edwarda śmiertelnej bladości Patrzano na niego, jak na konającego męczennika. Wrócił do więzienia spokojny, z głową dumnie podniesioną. Skoro jednak drzwi kaźni za nim zapadły, siły sztucznie podtrzymywane wypowiedziały posłuszeństwo. Z pomocą lekarza, musiał natychmiast do łóżka się położyć. Ciało osłabione upominało się o swoje prawa

— Czuję się okropnie znużonym! — wyznał szczerze lekarzowi. — Potrzebuję gwałtem wypoczynku. Zpreparujesz mi przyjacielu, jakiś kordjał wzmacniający, nieprawdaż? Trzeba stanąć z godnością na stopniach rusztowania. Chcę ginąć jak żyłem, jak przystało na szlachcica, na żołnierza.

— Może jeszcze nie wszystko stracone! — bąknął lekarz od niechcenia.

Edward smętnie się uśmiechnął. Jumble uznał chwilę za stosowną, aby zwierzyć mu się z zamiarem, zrodzonym w umyśle Tankreda.

— Zapominasz milordzie o twoich wiernych przyjaciołach! — rzekł z naciskiem. — Licz na ich gorliwość. Kto wie, czy jeszcze w ostatniej godzinie nie otrzymają zmiany wyroku... łaski dla ciebie..

— Nie przyjąłbym takowej! — odrzucił kategorycznie — chyba razem z braćmi Sheares... Jeżeli wyrok ma być na nich spełnionym, muszę ich los podzielić. Nie ucieka się z pod rusztowania, tak samo jak się nie pokazuje pleców nieprzyjacielowi podczas bitwy! To byłoby infamią!

Ta dumna odpowiedź, zmusiła natychmiast lekarza do zmiany w taktyce.

— Do djabła! — mruknął z cicha — nie przypuszczałem, żeby główną przeszkodą miał być upór tego szaleńca! Trzeba zatem mieć się na baczności!

XXIX.

Przejście z życia do śmierci.

W kilka minut później, Edward zapadł w sen niespokojny, gorączkowy. Ostatnie postanowienie, ostatnie słowa powtarzał jeszcze i we śnie.

— Nie! — szeptał niewyraźnie — nie! nic dla mnie samego!.. Łaski dla braci Sheares.. albo zginąć razem!

Czuwając nad chorym, Slovius Jumble tak myślał w duchu:

— Ach! nie przyjąłbyś zatem mojego truneczku, uparciuchu! Dobrze przynajmniej, żem się z tem wcześnie zdradził... Uratujemy cię paniczu mimo twojej woli! A wpatrując się w śpiącego rysy ukochane, mruczał z rozrzewnieniem, zaprawnem odrobiną dobrodusznej ironji: — To z pewnością najlepszy z ludzi, jakiego kiedy poznałem. Ale duma! pycha szatańska, każe mu o wszystkiem za-

pomnieć, nawet o tych, którzy mu krwią i sercem są najbliżsi! A twoje dzieci, wzniosły samolubie? A twoja biedna żona, siostra, matka sędziwa? Ja myślę o nich! i w ich imieniu skazuję cię na życie pyszałku! — To rzekłszy lekarz zostawiając drzwi otworem, wszedł do swojego laboratorjum.

Jego skazano tylko na wygnanie. Wkrótce może, wywiozą go za granicę Był to jeden z tych starców, którzy prawie snu nie potrzebują Użył więc nocy, aby być gotowym do wyjazdu Trzeba było najprzód papiery uporządkować, zeszyty dzieła pozbierać, które miało jego imię uwiecznić. Ta praca tak go wyłącznie zajęła, iż pierwszych wystrzałów wcale nie słyszał. Ale atak na bramy forteczne, zbudził ze snu Edwarda. Owinięty szerokim pledem szkockim, stanął nagle we drzwiach i zawołał w uniesieniu:

— Słuchaj doktorze! oto są!.. czekałem na nich, na naszych przyjaciół, naszych prawdziwych przyjaciół! Przyszli nas uwolnić, wszystkich razem!

Przez chwilę lekarz podzielał tę ułudę. Echa starego zamczyska, odbijały i roznosiły pomnożone setnie odgłosy salw z ręcznej broni i ryk głuchy armat. Zdawało się kiedy niekiedy że walka wre już w samem wnętrzu twierdzy, nie po za jej wałami Drzwi jakby gwałtownie podminowane, z trzaskiem się otwierały. Niekiedy znowu wrzawa straszliwa uderzała o mury, podobna do huku fal, podczas burzy srożącej się na morzu. Był to atak, a może zwycięstwo? Edward święcie wierzył w takowe gorączka i nadzieja rozpłomieniały go fizycznie i moralnie Nigdy wspanialej i piękniej nie wyglądał. Oczy zdawały się ciskać na wrogów pioruny. Gestem wzniosłym, bohaterskim, zachęcał walczących, których widział mimo muru grubego wzrokiem duszy dla której nie masz zapory!

Blaski purpurowe biły w okienka, chociaż tak wysoko zawieszone. Niebo całe zdawało się ogniem płonąć.

— Byle im do głowy nie strzeliło podpalić więzienie — krzyknął lekarz wystraszony. — A moje książki, notatki, manuskrypta!

Porwał je pod jedno i drugie ramię, aby mieć na pogotowiu w razie pożaru.

— Ho! ho! bardzo sobie wypraszam! — mruczał gniewnie — życie jest niczem.. głupstwo!... które mam sobie w pięcie!... Ale mój manuskrypt, to skarb nieoceniony! . To tytuł do nieśmiertelności!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z KRAJU I ZE ŚWIATA.

Pogadanka.

Lwów d. 19. Czerwca 1888 r.

Kraków!... Proszę wysiadać!

Na głos konduktora przetarłem oczy zaspane, po chwili zaś wyszedłem z wagonu, by po całonocnym zmęczeniu kości wyprostować. Zamiarem moim było jechać tym razem prosto do Warszawy i dopiero z powrotem zatrzymać się kilka godzin w grodzie podwawelskim, lecz gdy się o tem dowiedział jeden z moich znajomych, któregom przypadkiem zastał w poczekalni, zawołał oburzony:

— Ależ, na Boga! czy można być takim barbarzyńcą? Matejko na trzy dni wystawił w Sukiennicach swego „Kościuszkę“ który po upływie tego czasu niewątpliwie będzie do Wiednia wysłany, ponieważ minister Gautsch domagał się telegraficznie, żeby mistrz swój obraz jaknajprędzej przysłał na wystawę wiedeńską. Jeśli więc chcesz widzieć to wielkie dzieło, zostań do pociągu wieczornego, a inaczej gotówbym cię nazwać dzikim człowiekiem.

Uznałem, że przyjaciel miał rację zupełną i choć mi spieszno było do grodu syreniego, zostałem w Krakowie cały dzień. I oto jestem w muzeum i patrzę na olbrzymie płótno mistrza, które, acz dotąd bez ram w poprzek głównej sali ustawione, cały jej środek wypełnia, Znam wszystkie dzieła Matejki, lecz takiego dotąd nie widziałem. Mistrz pod niejednym względem zaparł się siebie i — szczerze to wyznaję — prześcignął siebie. Ale o tem później.

Tam, na drugim planie jakby na wzgórzu niewielkiem, oparty o tło sosen rozłożystych, których pnie czerwone tworzą ścianę, otoczony ludem zwycięzkim, stoi na koniu Tadeusz Kościuszko. Zdjął czapkę i dziękuje za okrzyki radośne. Twarz jego rozpromieniona. Strój na nim niewojskowy. Przypomina on prędzej ubiory markizów z XVIII wieku, niż uniformy wodzów. Jedna tylko szpada u boku wskazuje, że ten człowiek umie bronią walczyć. Koń pód nim prześliczny ognisty, może nawet zanadto rozumny, rzęd na nim bogaty, ale nie krzyczący Na prawo od wodza widzimy na koniu ks. Hugona Kołłątaja, przypatrującego się ciekawie temu co się stało, jenerała Zajączka, wkładającego szpadę do pochwy, polskiego jakobina. Taszyckiego; dalej siedzi pod drzewem szlachcic buńczuczny, w jaskrawych karmazynach i pasie złocistym. Ten niby zdziwiony a niby rozgniewany; snadź nie pojmuje, co się w koło niego dzieje i dlatego nie zdjął czapki swojej, zawadjacko na tył głowy nasuniętej. A może gniewa się i żżyma, że wódz marzyciel odwołał się do tych chłopów, których on karmazyn, dotąd za obywateli kraju nie poczytuje... W każdym razie człowiek ten jest obrazem przeszłości i jego też artysta wymalował z całą tą barw jaskrawością, która dawniejsze jego płótna cechowała.

Na lewo od Kościuszki widać chłopów Ten obie ręce do góry podniósłszy woła: „Niech żyje! drugi do samej ziemi kłania się naczelnikowi; trzeci wyrzucił czapkę pod niebo; dalej, mianowicie w drugiej połowie obrazu, z ręką na dziale stoi Bartosz Głowacki, a dokoła niego tłum wieśniaków. Zdaleka nadjeżdżają Wodzicki i Madaliński, głębiej widać krajobraz z płonącą na końcu osadą, u góry niebo szafirowe, na tle którego dzikie ptactwo buja w powietrzu. Na planie pierwszym, jakby u stóp osób działających, leżą zabici ranni, z boku oficerowie jeńców prowadzą, na samym przodzie leży szlachcic umierający, a obok niego, plecami do widza obrócony, klęczy bernardyn. I oto wszystko.

Ledwien wszedł do sali i zdaleka rzucił spojrzenie na ten obraz olbrzymi który rozmiarami wszystkie dotychczasowe Matejki przewyższa. tak miłego doznałem uczucia, że omało nie wyrwał mi się przez usta głośny okrzyk zadowolenia. Nie wątpię, że każdy widz musiał się znaleść w takiem samem położeniu. Już to jedno świadczy lepiej niż wszelkie pochwały, jaka jest wartość estetyczna najnowszego dzieła Jana Matejki. Wielki mistrz wyrzekł się tym razem ulubionej barw jaskrawości, właściwą sobie surowość, niekiedy nawet brutalność rysunku zastąpił delikatnością niezrównaną; piękniejszych postaci niż Kołłątaj, Zajączek i Taszycki nie byłby wstanie stworzyć sam Paweł Delaroche; gwałtowne *particco* zastąpiła u niego miękkość szlachetna, rozlewająca się wszędzie harmonijnie, nigdzie też nie ma

owych apokaliptycznych figur i ruchów, które w dawniejszych jego obrazach zwłaszcza widza, wykształconego na wzorach niekiedy gniewały, a częściej przerażały. Na planie pierwszym mimo iż tu figury są wielkości prawie naturalnej i chociaż w niektórych miejscach odbywają się sceny tragiczne, jak zwykle na pobojowisku, nim w oczy gwałtownie się nie rzuca i dla tego uwaga widza jest wciąż na plan drugi skierowaną, gdzie w tej chwili widzimy ostatnią scenę wzniosłego dramatu. Zachodzi pewna analogja między „Batorym“ a „Kościnszką“ pod tym względem jedynym, że działanie w obu rozwija się na tle krajobrazu, ale podczas gdy w pierwszym był tłok, grożący uduszeniem, przeciwnie w drugim tyle jest powietrza, że nikomu nie jest ciasno, figury nie usuwają się w dół i widz się nie obawia, żeby z nich która za ramy nie spadła. Sądzę, że artysta dla tego w tym obrazie łatwiej niż w dawniejszych pokonał trudności perspektywy powietrznej, że ludzi dał nam nieco mniejszych niż wielkości naturalnej i stosunkowo nie rzucił ich zbyt w elu na płótno. Łatwiej tedy mógł ich ustawić i lepiej jednego od drugiego oddzielił. „Kościuszko“ pod względem technicznym tak jest odmienny od dawniejszych utworów mistrza Jana, że mimowoli w pierwszej chwili zapytałem: „Jestże to w rzeczy samej jego praca?“

Dość przypatrzeć się poszczególnym głowom i ich głębokiej charakterystyce, żeby się przekonać, iż tylko z jego ręki mogły wyjść takie wyraziste, potężne i pod każdym względem skończone indywidualności. Każda głowa widzi, myśli, czuje, każda ma własny charakter. A jaka między niemi rozmaitość! Nie znajdziesz dwóch do siebie podobnych, nawet między wieśniakami są postacie odrębne, samodzielne, mimo iż na obrazie jest ich kilkudziesięciu.

Całość tedy, jak powiedziałem, robi wrażenie niezmiernie dodatnie, podniosłe, a że niema w niej nigdzie owego siły nadmiaru, który w przekonaniu wielu estetyków graniczył dawniej u Matejki z barbarzyństwem, więc też „Kościuszko“, jak się tego spodziewam, będzie niewątpliwie przez zachód łatwiej zrozumiany i przychylniej przyjęty, niż dawniejsze obrazy mistrza krakowskiego.

Jestże to więc słońce? Istotnie, na horyzoncie naszej sztuki „Kościuszko“ jest słońcem prawdziwem, ale ponieważ słońce ma także plamy, więc dziwić się nie trzeba, jeżeli i w tym utworze znajdziemy pewne niedostatki.

I oto przedewszystkiem należy żałować, że postać głównego bohatera dramatu nie wyszła taką, jakąbyśmy ją widzieć pragnęli; następnie, że kompozycja jest rozbitą na dwie połowy, w pierwszej bowiem średnicą jest wódz, w drugiej Bartosz Głowacki; nakoniec, że działanie wszystkich osób nie zogniskowuje się tak, jakby tego uroczystość chwili wymagała.

„Kościuszko“ na płótnie Jana Matejki, to przedewszystkiem marzyciel-poeta, który dosiadł rumaka i śpiewem wiódł lud do boju; to jakiś bard, wierzący więcej w potęgę natchnienia, niż w siłę oręża, który szpadę u boku nosi tylko od parady. Twarz jego prześliczna, idealizowana bez granic. Druga to Joanna d'Arc, mniej od tamtej mistyczna, za to więcej od niej poetyczna, w której jednak prawdziwej siły męzkiej napróżnobyś szukał. Ale może mi kto odpowie, że w „Kościuszce“ przeważał marzyciel? Choćby nawet tak było artysta nie powinien go był brać jednostronnie, „Kościuszko“ bowiem, mimo swego marzycielstwa, był także wodzem i żołnierzem, wielkie zaś i istotne zadanie prawdziwego artyzmu przy charakteryzowaniu osobistości wybitnych, zwłaszcza historycznych, na tem polega, żeby artysta jednemu rysowi charakteru nigdy nie dawał przewagi nad drugim, lecz żeby wszystko, co stanowi istotę przedstawionej jednostki, równomiernie a wyraźnie uwidocznił. Przeciwnie, „Kościuszko“ został przez Matejkę tak jednostronnie pojęty, że gdy cudzoziemiec, nie znający naszej historji stanie przed tym obrazem, bardzo być może, iż zawoła:

— Ach! ten w środku, to zapewne syn królewski, chłopiec szlachetny i wielce poetyczny, który, widząc wracających z pobojowiska zwycięzców, wyjechał na ich spotkanie.

„Kościuszko“ tak pojęty przestał być człowiekiem, a stał się ideą.

Naturalnem tego następstwem było to, że wbrew zamiarowi artysty przestał on być głównym bohaterem dramatu i średnicą obrazu — na pierwszy bowiem plan wysunął się człowiek z krwi i kości, Bartosz Głowacki. Postać to niezrównana. Ile tam energji w tem spojrzeniu, jaka determinacja w tych wychudłych i zapadłych policzkach, co za siła w tym ramieniu, które na armacie położył! Głowę równie potężną znam tylko jedną — jest to głowa Chrystusa na obrazie Munkaczego. Snadź artysta czuł przewagę Bartosza nad Kościuszką, skoro, aby ich złączyć, obydwu ku sobie twarzami skierował, lecz tem swój zamiar ledwie w części osiągnął. Obie postacie zostały dla siebie całościami oddzielnemi, za czem też musiało pójść rozbicie kompozycji. Ale może znów kto powie, że Głowacki odegrał w owej chwili rolę równorzędną ze swym naczelnikiem, więc i na obrazie musiał takim zostać. Na to ośmielę się odrzucić, że obraz historyczny nie jest tak samo ilustracją historji, jak dramat społeczny lub obyczajowy nie jest streszczeniem aktów kryminalnych, ani powieść nie jest prostem powtórzeniem drobiazgów życia codziennego. Kto jest wybitniejszym przestawicielem epoki, pośród której wznosi się kolumna z napisem: „Sejm czteroletni“ Kościuszko, czy też Głowacki? Wszak pierwszy zestrzela w sobie to co w ciągu dłuższego lat szeregu mówili Kołłątaje, Zamojscy, Staszyce, Potoccy i inni, gdy przeciwnie drugi jest tylko bohaterem chwili, przyczyniający się wprawdzie do podniesienia posągowej postaci naczelnika lecz nie mający żadnej pretensji do zajmowania tego samego, co on stanowiska. Bez Kościuszki niema wyniosłego epilogu smutnej epoki — bez Głowackiego może on się obejść. Pierwszy jest bohaterem ściśle historycznym — drugi w najlepszym razie tylko historyczno-rodzajowym. Ponieważ różni ich wielkość spełnianego zadania, więc i w dramacie powinien mieć pierwszy rolę wybitniejszą drugi zaś podrzędniejszą. Tymczasem stało się przeciwnie. Że Kościuszko nie jest istotną średnicą obrazu, na to złożyło się i to iż z wyjątkiem kilku, wyraźnie to zaznaczam, kilku osób, wszystkie inne zajmują się czem innem tylko nie nim. Ten broń czyści, ów ręce wyciąga niewiadomo do kogo, trzeci bawi się wyrzucaniem czapki do góry, czwarty rannemu głowę obwiązuje, a inni bądź znów robią co innego bądź też odgrywają rolę biernych komparsów.

Wszelako mimo tych niedostatków, od których żadne dzieło wolne być nie może, patrząc na ostatnie dzieło mistrza Jana, które okok „Kazania Skargi“ jest drugiem z rzędu najlepszem ze wszystkich jego dotychczasowych, musimy zawołać:

— Czołem! Czołem!

Józef Rogosz.

PORADNIK DOMOWY.

Malowanie białego drzewa na czarno.

Właściwie mówiąc, proceder niniejszy ma na celu nie malowanie, ale raczej zabarwienie przedmiotów mniejszych rozmiarów z białego drzewa, zabarwienie, dające się uskutecznić przez proste zamoczenie drzewa w wodnym roztworze permanganu potażu (*calium hypermanganicum*); stosownie do tęgości roztworu, moczenie podtrzymuje się dłużej lub krócej, poczem przedmiot się wyjmuje i obsusza bez wycierania. Otrzymuje się bardzo piękny ciemny kolor, który nabiera połysku przy lekkiem potarciu suchym gałgankiem. Kolor ten zawdzięcza swoje pochodzenie utlenieniu się drzewa wskutek własności permanganu potażu: oddawania tlenu przy zetknięciu z ciałami organicznemi. Słaby roztwór permanganu daje zabarwienie fioletowe. Drugi sposób, gruntowniejszy, przyczem barwa jest wytrzymałą zarówno na światłość i wilgoć, a nawet nie blednie od chlorku wapna, zasadza się na następującej również łatwej manipulacji: zwilża się najpierw drzewo jednorazowem zamaczaniem w wodnym roztworze chlorowodoru aniliny z domieszką drobnej ilości chlorku miedzi. Pozostawia się do obeschnięcia, poczem pędzelkiem lub gąbką pociąga się kilka razy wodnym roztworem dwuchromianu potażu. Przy powtórzeniu tej operacji dwa lub trzy razy z rzędu kolor się ustala, dając piękne, czarne, jednolite zabarwienie.

Sposób zabarwiania żelaza.

Miesza się wzajemnie dwa roztwory: roztwór, składający się ze 140 gramów podsiarczanu sody na jedną kwartę wody, z roztworem z 35 gramów octanu ołowiu, także na jedną kwartę wody. Nagrzewa się mieszaninę i w otrzymanym wrzątku pogrąża się przedmioty, przeznaczone do zabarwienia. Otrzymują one bardzo ładny odcień niebieskawy, jeżeli nb. uprzednio były starannie oczyszczone ze rdzy i odpolerowane. Pogrążając przedmioty z kutego lub lanego żelaza w roztopioną siarkę, przemięszaną nieco z sadłem, otrzymuje się na ich powierzchni czarną powłokę z siarczyka żelaza, dającą po odpolerowaniu bardzo ładny połysk. Traktowanie w podobny sposób drobniejszych wyrobów żelaznych ma na celu z jednej strony nadanie im ładniejszego wyglądu z drugiej zaś zabezpieczenie od rdzy i dłuższe ich zakonserwowanie.

Mycie zaprawionych olejno podłóg.

Wszystkim gospodyniom naszym wiadomo, że zaprawiona olejno podłoga po parokrotnem myciu szarem mydłem i sodą niszczy się. Farba odchodzi całemi płatami i tym sposobem cały koszt zaprawiania idzie wkrótce na marne. Jest jednak sposób, używany z wielkim skutkiem za granicą i w Galicji już oddawna, a nader prosty do wykonania. Mydło i sodę zastępujemy w tym razie inną zasadą, również dobrze zmywającą brud z podłogi: mówimy tu o amonjaku. Ponieważ przetwór ten jest nader tani, używać go zatem możemy do mycia podłóg na równi z mydłem. Jedną część amonjaku rozpuszczamy w sześciu lub ośmu częściach wody zwyczajnej miękkiej (unikać należy wody twardej, która unicestwia działanie amonjaku) i maczając w takim roztworze szczotkę miękką, wycieramy nią podłogę. Zazwyczaj po powtórnym zastosowaniu tego środka podłoga zupełnie się oczyszcza. Środek ten ma to jeszcze do siebie, że po umyciu podłoga zupełnie nie traci połysku, przeciwnie, wygląda, jak świeżo zaprawiona.

Oczyszczanie przedmiotów z kości słoniowej.

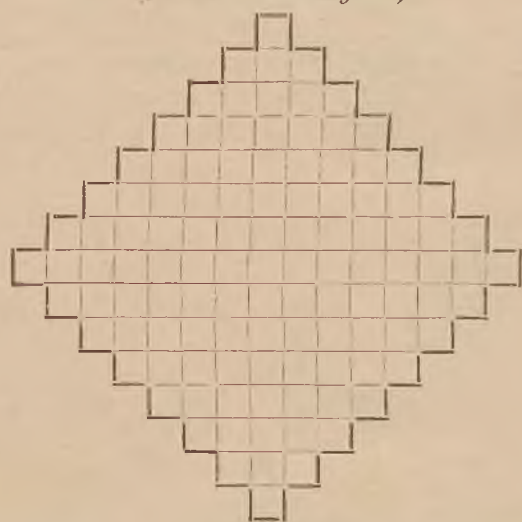
Kość słoniowa po dłuższym przeciągu czasu żółknie na całej powierzchni, lub tylko miejscami. W tym ostatnim wypadku tworzą się plamy żółte, obniżające wartość przedmiotu. Nie trudno jednak zżółkłej kości słoniowej nadać pierwotną białość i w tym celu radzimy spróbować następującego przepisu: Papier, lub lepiej bibułę, napawamy tłuszczem baranim lub gęsim w ten sposób, aby tłuszcz równomiernie pokrywał powierzchnię papieru. W taki papier obwijamy jak najszczelniej przedmiot i wstawiamy go do niezbyt gorącego pieca. Po upływie godziny lub półtorej przedmiot wyjmujemy. Po ostudzeniu obmywamy go w letniej wodzie z mydłem. Zdarza się często, że przy dokładnem użyciu powyższego sposobu nawet małe żółte plamki znikają bez śladu.

Oczyszczanie powietrza w pokoju.

Kwestja powyższa nader często zjawia się na porządku dziennym i rzeczywiście pod względem hygjeny jest bardzo ważną. Szczególniej zimą, gdy wentylacja i przewiew jest zmniejszony, powietrze w pokojach psuje się ze względu na nagromadzenie w niem wytworów przemiany materji jest szkodliwem dla zdrowia. Powszechnie dla oczyszczenia takiego powietrza używają rozmaitych pachnideł, papierków do kadzenia i t. p. które rzeczywiście na pewien przeciąg czasu niszczą przykrą woń, ale pozostawiają nietkniętą samą przyczynę zanieczyszczenia powietrza. Dlatego też uciec w tym celu należy do innych środków t. zw. dezynfekcyjnych i odwaniających. Można w tym celu używać do rozpylania w powietrzu 3% roztworu kwasu karbolowego lub 1:2000 roztworu sublimatu, najlepiej jednak wody utlenionej, którą przygotowujemy jak następuje: do gąsiorka wlewamy do $\frac{1}{7}$ części terpentyny zwyczajnej, resztę napełniamy wodą, pozostawiając nienapełnioną $\frac{1}{6}$ część gąsiorka. Zakorkowawszy niezbyt mocno, wystawiamy gąsiorek na dni 4—5 na działanie słońca, wstrząsając od czasu do czasu. Po upływie tego czasu otrzymamy wodę utlenioną, którą należy zlać i używać do rozpylania w pokoju, w którym chcemy oczyścić powietrze. Po parodniowym zastosowaniu tego środka powietrze znakomicie się oczyszcza. Dla utrzymania nadal czystego powietrza od czasu do czasu powtarzamy rozpylanie. Dobrze jest również powyższym roztworem zmywać podłogę.

Zadanie krystaliczne

(Anieli K. z Kutyszcz).



1. Spółgłoska — 2. Dramat Corneille'a — 3. Miasto we Włoszech — 4. Miasto w Rosji — 5. Bohater poematu Słowackiego — 6. Jezioro we Włoszech — 7. Badacz dziejów Litwy — 8. . . . . . ? 9. Poeta, przyjaciel Mickiewicza — 10. Stopień kapłański — 11. Miejsce kąpielowe — 12. Imię kobiece — 13. Gatunek drzewa — 14. Miara powierzchni we Francji — 15. Samogłoska.

Jako premjum za rozwiązanie, przeznaczamy **I. M. Niemcewicza „Jan z Tenczyna“.**

Rozwiązanie kryptogramu.

Litery tomów oznaczają litery w porządku alfabetycznym ułożone; a więc 1 - a, 2—b itd. W ten sposób otrzymamy „**Encyklopedya**.“

Rozwiązanie łamigłówki z głosek.

1. **H**erkule**s** — 2. **O**dysse**a** — 3. **M**azarin**i** — 4. **E**manue**l** — 5. **R**udk**i**.
Homer — Ilias.

Trafne rozwiązania nadesłali: Wny Śmiałowski inżynier z Krakowa, p. Jadwiga Krauss z Toporowa, p. Stefanja Eisenberg z Żurawic, p. Wanda Kopacz ze Stanisławowa, p. Franciszek Dbałowski z Wadowic, p. Marja Bernacka z Krakowa, p. Matwij, K. N. tsch. z Krakowa, p. Edward Marynowski ze Lwowa. p. L. Aksentowicz z Uniowa.

Rozwiązanie łamigłówki zgłoskowej nadesłali: PP., H. Faliszewski z Bieska, p. Zygmunt Smolka z Drohobycza, p. Biliński z Horodenki.

Po zarządzonym losowaniu, nagrodę otrzymał pan Edward Marynowski.

Z drukarni nar. W. Manieckiego. Wydawca, Józef Rogosz. Zarządca drukarni i odpowiedzialny redaktor: Walenty Hodak.